

45. FAMA

MIEDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS
ŚWINOUŹŚCIE 17-29 VIII 2015

TORPEDA LUDU



W TORPEDZIE:

- cały ten jazz
- kultura niska
- wojna postu z karnawałem
- matka boska od pekapu

in flagranti

sezon grzewczy, trzej królowie w zgodzie z literą prawa na drzwiach czynszowych mieszkań. czas otworzyć jak zgryźliwym inkasentom, pokazać żarte rdzą paciorki różańców w pudełku, zerwać plombę z ust Jezusa, ostrożnie obchodzić się z najdroższym kruszczem, milczeniem.

zwykle na pukanie odpowiadam ciszą jak makiem zasiał. zazwyczaj przychodzą do mnie typy spod ciemnej, betlejemskiej gwiazdy, aby wyłudzać pieniądze albo cukierki. teraz jest inaczej. przynosisz mi siebie jako prezent, żebyśmy oczyścił sól z języka. wejdziesz?

zostań na wieczerzę, koronację koronkami, zgrzytanie zębów na powierzchni czarstwej skóry. przebieraj z białych pieśni maczek skreśleń, aż zabrzmią pomiędzy nami zamki błyskawiczne. rozepnę je tak szybko, jak to tylko możliwe. zostanę złapany za rękę na gorącym uczynku.

cały ten jazz

tribute to josif brodski

tramwaj mknie przez aleję, miejsce zabrudzone, pętlę zaznacza obrotem wokół szyi zajezdni. wzdłuż torów mały hotelik, neutralny teren do przelotnego romansu. obłuszczone tynki, proch i sperma. wewnątrz szafy czają się trupy. słysząc w niej chrobot myszy na tle czarnej, pilśniowej płyty – jazz.

w barze, na gwoździu wbitym chyboliwie w ścianę, powiesiły się zakurzone płaszcze, zwłoki. niewidomy pianista – pasażer rozpoczyna pasaż kluczem, który pasuje do tak niewielu palców. dziś nie milczenie jest złotem, ale whisky. muzyk poprawia marynarkę. cisza, aż nagle wyłom. akordy sypią się jak iskry – jazz.

pada wystrzał. może to strzelił korek, może pistolet, może ktoś stłukł szklankę w dłoni. improwizuję jak z nut. przesuвам się po twoim ciele, białej klawiaturze. wznosimy toasty, wyrzucamy butelki z okien na piętrze, na pohybel wszystkim. twoje żrenice rozszerzone strachem, tuż przed debiutem. to także jest – cały ten jazz.

zostaw wiersz po sygnale

grzbiety książek przyczajone na półkach jak zwierzątka. naprężony nerw, przekrój przewodu zamiast pieczywa. wychodzi mi pisanie na czysto, ale czy dotyczy to także niepisanych umów o dzieło zniszczenia? lepiej jest czytać z ruchu warg, smsów, gigabajtów tekstu i podtekstów.

sto minut, które przechodzą na następny miesiąc, to już zakrzywienie? kto daje wskazówki? czas biegnie. ja, by biec, musiałbym rzucić palenie. dzielą nas mosty, państwa, miasta, rośliny halucynogenne. z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. nie obróć. co najwyżej na pięcie.

napięcie każe pozostawać w związku. w związku z czym mamy problem, żeby się zrozumieć. odłóż to na bok. daj się prowadzić uczuciom jak w tańcu, automatycznie piszmy bieg historii. nie rozłączaj się jeszcze. zaczynam od słów. od słowa do słowa będziemy wchodzić w zakręt.

aż linia stanie się przerywana, wyczerpią impulsy elektryczne. dojdziemy do punktu wyjścia. niczego nie odkładaj na później, nie odkładaj słuchawki. twoja sekretarka mówi monotonią: po sygnale zostaw swoją kobietę, zanim zrobi to za ciebie.

● Kacper Płusa

s z a f a s

z otwarta z

a mole zjadły moje płaszcze a

f ubieram na siebie wieszaki f

a s z a f a

t o t y l k o p o c z a t e k

GORĄCZKA

GORĄCZKA

GORĄCZKA

GORĄCZKA

JUŻ?

JUŻ.

k
r
o
k

k
r
o
k

k
r
o
k

k
r
o
k

k
r
o
k

k
r
o
k

● Anna Radecka

Przeciąg

Mój dziadek odfrunął, jestem przekonana.

Ot, przebudził się, usiadł. Narzucił flanelowy kubrak w kratę. Kubrak pachniał smarem i mokrą sierścią. Jak znam dziadka, to chwilę porozmyślał o tym, czy wypuściliśmy już psy z garażu i że na pewno nie. A to ważne, żeby szybko psy po nocy wypuścić, niech biegają.

Otworzył okno i wdrapał się na parapet. Chrupnęło mu pewnie kolano. „A jop twaju mać!”, zaklął melodyjnie.

Nikt tak pięknie nie przeklinał. Tak śpiewnie nie złorzeczył. Najbardziej lubiłam, kiedy obiecywał, że mi złoży tyłek. Nie tak zwyczajnie złości, a z wileńskim, przedniozębowym „ł”. Nigdy tego nie zrobił, choć zdarzało się, że był blisko.

Na przykład tego dnia, kiedy namówiłam siostrę, żebyśmy uciekły z domu w ramach walki o równouprawnienie. Chwilę wcześniej przytykałyśmy nosy do brudnego okna kotłowni obserwując, jak dziadek wozi naszego brata dookoła podwórka. Dziadek miał motorek, komara, a komar miał wszystko to, czego w wieku wczesnopodstawówkowym wymaga się od pojazdu. Dawał z rury tak, że słyszała cała miejscina, a do jazdy zakładało się prawdziwy kask. Stałyśmy i patrzyłyśmy, naburmuszone i posiniąte z zazdrości. A w uszach, oprócz radośnych popierdywań komarka, rozbrzmiewał nam bezlitosny wyrok dziadka: jazda na motorze to nie jest zajęcie dla dziewczynek.

- Podpisujemy się? - siostra wierciła długopisem kropkę przy jedynym zdaniu listu. „Uciekłyśmy, bo dziadek lepiej traktuje Pawełka”, informowała.

- Przecież domyślał się, o kogo chodzi. Dopisz jeszcze, że mamy tego s e r d e c z n i e dość - doprecyzowałam.

- Mam... tego... serdecznie... dość. Kropka.

Nie zdziwiło mnie, że torby były już spakowane. Moja siostra była tą bardziej zaradną połową naszego duetu. Torby były dwie, w każdej: para majtek na zmianę, pluszak, sok z rurką, kilka „Kaczorów Donaldów” i wepchnięta z trudem zimowa kurtka. Był lipiec, ale przecież kiedyś przyjdzie zima. Niczego nie przeoczyła.

Pierwszy problem napotkałyśmy przy bramie. Dokąd uciekać? Pomysł z wyprowadzką do domu dziecka trochę ostatnio nadwyreżyżyłyśmy. Mógł już nie zrobić odpowiedniego wrażenia. Po krótkich obradach w cieniu sosny padł werdykt: nieważne dokąd, byle daleko.

Droga przez osiedle była szeroka, błyszcząca i pusta. Szłyśmy środkiem. Gorący asfalt kleił się do butów i spowalniał krok. Minęłyśmy podwórko wujka Antka, który podobno był kosmitą. Dalej sklep „U Robaka”, cmentarz, ogródek jordanowski. Słońce wykrzywiało twarz. Torby sunęły krok z tyłu, objijając się o posiniaczone tyłki. Szłyśmy chyba całą wieczność. Ciężko dysząc, przerwę zarządziłyśmy przy placu zabaw.

- Jak tu dobrze - jęknęłam, osuwając się pupą po szorstkiej korze brzozy. Przed twarzą fiknął mi zrzucany z ulgą sandał siostry. W pobliżu dzieci sąsiadów grały w kosza. Wbijając słomki

w kartony soku obserwowałyśmy to z połażliwością. My nie miałyśmy na takie zabawy czasu. Dramatyczne okoliczności zmuszały nas do zachowania zimnej krwi i skupienia się na planie ucieczki.

- Wiesz co? - zaczęła siostra z namaszczeniem. Przestałam siorbać. - Zrobmy jak dziadek, kiedy ich wygnali z Wilna. Pamiętasz, co nam zawsze opowiadał? Jak przywieźli ich pociągiem, a potem mogli wybrać sobie dom po Niemcach?

Znałam dobrze te dziadkowe opowieści i rozmarzyłam się na myśl, że mogłybyśmy przeżyć podobną przygodę. Być b i e ż e n i c a m i, jak mawiał.

Bieżeńca charakteryzowało kilka rzeczy. Powód do ucieczki był. Hart ducha tym bardziej. Po przeliczeniu drobniaków z kieszeni wyeliminowałyśmy jednak podróż pociągiem. No i skąd wziąć opuszczone w pośpiechu przez Niemców domy? Do zajęcia nadawały się tylko altanki w ogródkach działkowych, okupowane już zresztą przez miejscowych kłozkardów. Powinny wystarczyć.

Po drodze na działki znów mijałyśmy nasz dom. W nim dziadka, drylującego wiśnie na nalewkę, Pawełka przyklejonego do gry wideo i Gutka, który szczechnął porozumiewawczo na nasz widok. Przystanęłyśmy, zachowując bezpieczną odległość. Skoro dziadek miał do wyboru tyle pięknych domów, dlaczego wybrał akurat ten? Przecież mógł wybrać sobie mały pałacyk - na pewno Niemcy zostawili jakieś ładne pałacyki!, albo przynajmniej jakiś dom z basenem. Ten dziadek to miał czasem dziwne pomysły.

Gdybym wtedy wiedziała, że potrafił latać, zastanawiałabym się pewnie, dlaczego uciekał z Wilna pociągiem. „Nie udźwignąłby sam tych wszystkich bagaży”, odpowiedziałaby mi siostra.

- Ciekawe, co na obiad.

- Pierogi. Widziałam.

Nie miałyśmy zegarka, ale szacowałyśmy, że nie było nas - ho ho! - ze dwie godziny.

- Na pewno się martwią.

- A może dziadek zgłosił nas już na policję?

Postanowiłyśmy dać mu jeszcze jedną szansę.

Z cierpięciznymi minami wtoczyłyśmy się na podwórko. Dziadek wynurzył się z werandy. Wyglądał na poruszonego. Patrzyłyśmy wyczekująco.

- A czego te nogi takie brudne!? Wot, jak czort! Wyszorować i do stołu, czasu nie mitrzyć! Obiad zaraz!

Pierogi jadłyśmy ze smakiem, ale jakby od niechcenia. Niech sobie nie myśli. Przecież uciekłyśmy z domu! Na pewno się martwił! Byłyśmy prawdziwymi bieżeńcami, jak on! Dziadek na początku chyba w ogóle nic nie rozumiał, ale po chwili pokiwał głową.

- A maminki wy moje... - wymruczał i gdzieś zniknął.

- Dla moich ulubionych wnuczek - po obiedzie na stole wylądowała góra wiśni. To były bardzo wylewne, jak na dziadka, przeprosiny. Ale komarkiem nigdy się nie przejechałam.

Załałam się za to na łowienie ryb. Zajęcie

też mało dziewczynskie, choć widocznie mieściło się bardziej w dziadkowej hierarchii. Z początku trochę popłakałam nad przekłuwanymi robakami, ale zapomniałam o ich losie, kiedy splotawik zanurzył się po raz pierwszy. Z pomocą dziadka moja zdobycz wyfrunęła z jeziora. Pierwszorządny okaz, bury, wielkości dziewięcioletniej piąstki. Już widziałam, jak nowa ryba pluska się w akwarium na biurku. Po chwili coś szarpnęło wędkę jeszcze raz.

- No, zuch dziewucha! Jak ty to robisz, że ja ani jednej, a ty już dwie?

Pękałam z dumy, ale nurtowała mnie jedna kwestia: jak przewieziemy rybki do domu.

- Jak przewieziemy? Toż nic nie będzie z nich, małe to takie kielbiki, w kibinimater wypuścimy z powrotem... - wzrok dziadka napotkał mój. Prędko się zmytygował. - No, wrzucę je tu do wiaderka i zaniosę cioci Lusi, ona tam do stawku wpuści w ogrodzie, dobra?

„Biedny dziadek”, pomyślałam. Miał taką zmieszaną, trochę zawstydzoną minę. „Pewnie mu głupio, że łowi gorzej ode mnie”. Postanowiłam nie drażyć tematu i przytaknęłam. Pod koniec wakacji odwiedziłam japońskie karpie w oczku wodnym cioci Lusi. Czule obserwowałam dorodne, pomarańczowo-białe ryby, przekonana, że dwie z nich to moje kielbiki. Tak pięknie wyrosły.

Wszyscyśmy wyrosli, nie tylko kielbiki. Wyjechaliśmy na studia. Komarka lata temu zabrał wujek Antek. Nie było komu sadzić pomidorów i w ich miejscu wyrosła fontanna. A dziadek złościł się coraz mniej, aż w końcu nie złościł się wcale.

Kiedy widziałam go po raz ostatni, łowił ryby.

To było jakoś po południu, parę dni przed tym, jak odleciał. Została mi godzina do pociągu i oglądałam z dziadkiem wiadomości. W sinoniebieskim blasku telewizora skóra na jego twarzy wydawała się jeszcze cieńsza.

- Weź no. Przełącz mi tam... - chudy palec unioś się nieznacznie, wskazując pilota. Zaraz bezwładnie dotoczył do reszty dłoni.

- Na jaki chcesz kanał?

Dziadek nie odpowiedział. Po chwili zachrapał. Wciąż nie wiedziałam, co chciał oglądać. Poskakałam trochę po wszystkich kanałach i wyłączyłam telewizor. Siedziałam w ciszy, nagłe przerwanej przez westchnienie. Zauważyłam, że dziadek wpatruje się w sufit. Chyba patrzył tak już jakiś czas. Odwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się.

- Takie wielkie szczupaki przed chwilą łapałam.

Kiedy szłam na uczelnię, wiatr uderzył mnie zapachem smaru i mokrej sierści. Podobno był potworny przeciąg, kiedy weszli do pustego pokoju na piętrze. Później policjanci dopytywali o „dziwne okoliczności zdarzenia”.

Chcieliśmy im więc powiedzieć, że gdzieś zniknęła dziadka wędka, ale uznaliśmy, że nie takie to znowu dziwne. Bieżeńiec zabierał ze sobą przecież tylko najważniejsze rzeczy.



matka boska od pekapu

- Woda? Ryby się w tym ruchają – rzuca Pompon, kiedy kładę przed nim butelkę. Mówię mu, że daj spokój, jeszcze nie ma południa, nie możemy być pijani do południa, bo zdarzy się to, co zdarza się w takie dni zawsze, to znaczy: mój poścąg pojedzie beze mnie. Mówię mu, że wódka czeka, że patrz, Pompon, jest jesień, ale Pompon mówi, że dla niego to już jest pożegnanie jesieni.

Wzruszam więc ramionami, ładne mam, więc nie mam oporów. Olewam Pompona, patrzę, co na peronie, a na peronie typowy krajobraz końca, ławki bez szczelbi i chłopcy bez perspektyw. I kiedy tak uprzykrzam sobie życie obserwacją miejscowej ludności, na plan pierwszy wysuwa się on. Nie jest wysoki, nie jest też ładny, ma na sobie ciuchy, jakie normalny facet nosiłby wyłącznie dla zgrywy, ale z takim zawzięciem wypcha swojej dziewczynie rękę w majtki, że ty nie wiesz, czy to jeszcze pieszczota, czy może wpadła mu tam pięćzłotówka.

Po roboczymu nazywam go Olo. Olo widzi, że widzę i uśmiecha się do mnie swoim brakiem górnej jedynki i zadziera głowę wyżej i jest teraz jak kiwający się piesek z dużego fiata z polskiej wsi lat dziewięćdziesiątych. Olo wydaje się nawet dumny, patrzy buńczucznie, trochę jak Kmicic, a trochę jak zwykły palant i widzę, że chce obudzić we mnie emocje: zazdrość, podziw lub demony wojny. A ja stoję nieporuszona, przeżuwasz gumę typu orbit i wyobrażam sobie kowboja na prerii na tle zachodzącego słońca i myślę, że dobry scenarzysta wcisnąłby tu konia, ale wtedy patrzę na dziewczynę Olo i stwierdzam, że koń właściwie już jest.

- Czytałem „Wyborczą”, miałem sen – z odrętwienia wrywa mnie Pompon. - Pierdolę, więcej nie czytam, to zaburza mi balans, przechyla mnie, kurwa, na prawo. I miałem sen, że niebo gwiaździste nade mną, Beata Szydło pode mną i trzy dni bałem się potem spać.

Olo rozdziawia gębę, widzi, że coś się kroi, ale nie wie, czy gadamy już o nim, bo do tego musiałby mieć lepszy słuch albo chociaż mózg. Tymczasem krajobraz się zmienia, stoję ja, Pompon, Olo i laska, a pomiędzy nas wjeżdża karoca. Karoca to stare cinquecento, przemalowane na niebiański błękit, a na dachu jego – nie kto inny – Maryja. I naprawdę, nie wymyśliłby tego reżyser „997” ani animator wakacji na Cyprze, bo oto wjeżdża Maryja na swoim nadającym się na złom tylko rydwanie.

Maryja jest nieżywa, może z gipsu, a może z plastiku, a może to zdeformowany krasnal z niemieckiego ogrodu, bo zaburzone ma mocno proporcje. Kajam się jednak w myślach, niech nie zmyli mnie tańść wykonania, najważniejsze

są przecież intencje. A intencje autor ewidentnie miał szczere, to jest chciał stworzyć coś na podobieństwo niczego, bo przecież nikt nie wie, jak Maryja od pekapu wygląda.

I gdyby ta Maryja jak Statua Wolności tylko i aż była, to afera byłaby żadna, przecież nic nam do tego, co taki kierowca może mieć w głowie. Ale on Maryję wytapetował się cały, całe auto jest w wizerunki maryjne, tautologiczny i nachalny jest to jednak obraz. Maryja na dachu, Maryja na masce, Maryja nawet z głośnika. Bo oto widzimy, że w koronie figury umocowane zostały głośniki i dawaj one mówić, że kres świata nadciąga. A my patrzymy na to auto, na siebie, na auto, na kierowcę i udziela nam się wspólna chyba myśl, że ten kierowca, że on może być jednym z jeźdźców apokalipsy, a ze spryskiwaczy może mu lecieć woda święcona.

Pompon lekko się płoszy, od Szydło do Maryi daleką pokonać musiał drogę i kiedy mariowóz znika z pola widzenia, on chodzi od ławki do ławki, chodzi tam i z powrotem, w czym odnajduję jego słabość do prozy Johna Ronalda Reuela Tolkiena.

A ja się dziwię, bo okolica to jednak niezbyt religijna, żeby tak wjeżdzać ludziom z Maryją w ich wąskie pole widzenia. Sama wierząca nie jestem, nie chciałam nigdy umrzeć za Chrystusa, a już na pewno za dzieciaka nie chciałam dostać za niego w pysk. I wiruje mi teraz w głowie obrazek, jak nakrywam głowę kołdrą, jak wiercę się, jak spać nie mogę, kiedy ten człowiek na ścianie tak świeci i patrzy, a za jego grzbietem rozpościera się krzyż. I mówię o tym babce i słyszę, że tak podważam dogmat jeden z najświętszych, to jest dogmat Jezusa fluorescencyjnego i od tamtej pory jestem dla babki tym, czym była Buka dla rodziny Muminków.

Nie zauważam, kiedy papieros parzy mnie w palce. Rozcieram resztki o ścianę, ręce idę umyć do kibla. To jest do toalety, jeśli są między nami kobiety i dzieci i to nie jest tak, że ja bywam wulgarna, ale w słowie toalety jest pewna dostojność, to jest Egipt wśród pospolitych słów, ale ten z czasów faraonów, a nie Rosjan w sandałach, sączących drinki z palemką.

Tymczasem to jest dworzec, polski dworzec – dodajmy – i jedyne, co tu się dzieje, to kiła i mogiła i syf. I nie ma, że wyłożenie podłogi płytkami, zapach lawendy, a przy kranie dozownik z mydłem marki Dove. To dałoby pewien komfort i pozwoliło zachować higienę, albowiem ludzie boją się mydeł w kostce i wiążących się z nimi macań. Boją się ich, bo czają się na nich cudze odciski, cudze uściski, cudze dłonie i cudze palce. Odbite linie papilarne. Tożsamości, zdarzenia, historie. A jeśli ktoś ma pecha, to włosy łonowe też.

Ale co zrobisz, nic nie zrobisz, stoisz, ręce brudne od osikanych klamek, przed tobą mydło, miękkie i ciepłe, więc zanurzasz się i czujesz, jak twoje palce toną, jak zatapiają się w nim powoli i wkurwiasz się, bo sprawia ci to

przyjemność, przez co boisz się, że cierpisz na rodzaj dewiacji. Tak, widziałeś to kiedyś na filmie, wkładać rękę do worka z grochem to nie jest straszna rzecz, wkładać kota do piekarnika też ujdzie, ale palce w mydło, wgniatać się, wtapiać się, upierać się i drażyć, to robi z ciebie USA na tropie ropy.

Odpędzam od siebie tę wizję, ręce myję wodą, wycieram energicznie w kieszenie. I myślę, że to dlatego ludzkość wynalazła mydło w płynie, aby odsunąć od siebie grzech niechybnych macań. Oraz dlatego, że mydło w płynie trudniej jest kraść.

Chwytam za plecak, kiedy nagle odzywa się głos. Głos jest zachrypły, znajomy. To Pompon. I rzuca:

- Topiłaś kiedyś szczeniaczki?

Rozdziawiam więc gębę na szerokość pozwalającą na swobodny wlot muchy do środka i robię minę, poziomem żartu przypominającą trzy czwarte młodych polskich kabaretów. Na co Pompon, że takie pytania nachodzą go często. Że chce pytać ludzi, doświadczać ich, eksplorować inaczej niż tylko poprzez ruchy frykcyjne.

- Sklej temat, dzwonię na infolinie – rzuca, dopinając rozporek. Tak o, zwyczajnie, jak podaj mi sól albo wyjdź za mnie.

Pytam, jakie to infolinie, a Pompon do mnie, że różne. W zależności od nastroju i czasu, bo niektóre czynne są całą dobę, ale większość to nie. Ostatnio jest to infolinia Tescó – po tym, jak zawiodło go PKP. Pytam, co to za historia, a on do mnie, że ponieść się dał technologii. Że pan na infolinii powiedział, że PKP ma teraz czat, że to większą daje swobodę, bo można pisać i nie zostać rozpoznanym. Porozumieć się, ale bez twarzy, zażyłości, głosu. Minus był taki, że po drugiej stronie znajdował się bot. To jest program. To jest oszustwo, bo ten bot udawał, że żyje, miał nawet imię typu Jurek, miał sylwetkę, twarz, oczy, nos oraz usta, miał nawet uniform służbowy oraz obrączkę na serdecznym palcu i nawet wilk dałby się nabrać i zjadłby go w leśie zamiast Czerwonego Kapturka.

I Pompon pytał go o podstawy: czym jest miłość, czym jest życie i czym nasyczyć biskopt, a bot Jurek zawsze odpowiadał zgodnie z regułkami, wgranymi mu przez cwaniaków z IT.

Pech chciał, że kiedy Pompon szedł na paradę gejowską, zapytał bota Jurka, co ten myśli o seksie analnym, na co bot Jurek odparł, że są tunele, w które lepiej nie wjeżdżać. I wtedy Pompon powiedział, że dość. I jak się wtedy nie wkurwi na całe to PKP, jak nie strzeli w ekran monitora dopiero co napoczętym jogurtem, tak powie, że jego noga więcej tam nie postanie, a zresztą on nie jest pies, który jeździł koleją.

I wtedy rozlega się pisk. Pisk jest nie do określenia, coś na pograniczu sąsiadki spod piątki oraz świnki wietnamskiej, a to po prostu jest laska z peronu. Laska mówi, że ma na imię Zuza i przeprasza, że nam w rozmowie przeszkadza, ale Olo dał nogę akurat, jak wrócił on, to jest jeździec apokalipsy. Pompon mówi, że spoko,

ale kiedy Zuza idzie i sika, Pompon rzuca, że świeć Panie nad jej tuszą i chuj.

I mówi, że to ciekawe, czy Zuza też dzwoni na infolinię. A może zamiast tego pyta wujka Gogle'a, czy trudno zakochać się w grubej. I wszyscy piszą, że nie, że ważne jest to, co człowiek ma wewnątrz, a przecież jak się tu dostać do wewnątrz, skoro ten tłuszcz jak izolator wokół niej działa, skoro zamknął ją jak książniczkę w zamku, unieruchomił, poskromił i nikomu nie odda.

Pompon mówi, że widać. Że Zuzka nie jest tak genetyczna, że nie jest to choroba, wina Boga, Czarnobylu i Kuchni Pięciu Przemian. Że Zuza lubi jeść. Że on widzi oczyma duszy swojej, że ona kapie mielone w oleju jak ruszałki w stawie, że ptyś ptyś goni i eklerkiem pogania. Że on teraz rozumie, co to znaczy, że miłość to chemia, bo przecież nietrudno Zuzkę rozłożyć na czynniki pierwsze. Wydzielić z jej ud, piersi i dupski glutaminian sodu, benzoetan sodu, pięć regulatorów kwasowości i wszystkie te chore rzeczy, którymi straszysz się dzieci przed snem.

Że to w niej znajdują schronienie wszystkie emulgatory, stabilizatory, konserwanty-sranty, spulchniacze, ulepszacze i wszystkie, wszystkie E. I Pompon mówi, że ręką kolegi by jej nawet nie dotknął, bo nie wie, czy od tego całego chemicznego żarcia punkt G nie przemienił jej się w punkt E i czy nie zaszałyby z jego penilem reakcja alergiczna.

Wtem Zuzka wychodzi, a ja patrzę tak na nią i patrzę, a kilogramy i centymetry silniej mówią do mnie niż mędrca szkiełko i oko. Już nawet ja, która jestem tak tolerancyjna, która opowiadam się za niepodległością kraju Basków, za wolnością dla Tybetańczyków, która mówię NIE dla budowy farmy nerek pod Wrocławiem i TAK dla polskiego kina LGBT, nawet ja nie znajduję w sobie żadnego dla niej usprawiedliwienia. Wtem nagle odzywa się Pompon:

- A ty się, Zuzanka, pierdolisz?

Zuzanka czerwieni się, uciekłaby, ale nie ma gdzie. Więc mówi, że to nie jest tak, że ona na tym peronie, że ona jest grzeczna, miła i nie uprawia seksu w męskich toaletach, że ta ręka w majtkach to przez reisefeber, że Olo tak jej pomagał rozładować napięcie. I że nawet trochę żałuje, że jest z domu bardzo wierząca, bo przez brak seksu

przed ślubem każda ciąża to ciąża urojona, chociaż patrząc na nią, to raczej jest ciąża spożywcza.

Dziwnie jest, bo Zuza staje bokiem do przybrudnego lustra i gładzi fałdy sukienki. I wtedy ja myślę, że ona ma w sobie wielką potrzebę rodzenia, że to nie pierwszy raz, jak ona tak staje w tym lustrze. Myślę, że robi to w domu, że podgląda ją któryś z sąsiadów, na pewno mieszka w bloku, ma pokój od podwórka i on też mieszka w bloku, i ma pokój na tej samej wysokości, i on może być na wózku inwalidzkim, może być fanem astronomii albo zwyczajnie mieć w domu lornetkę.

I kiedy zapada mrok, a Zuza włącza światło, wtedy on gasi swoje i przykleja nos do szyby, jak to robią starcy na emeryturach albo dzieci w okolicach świąt. Nie chcę tego, ale moja wyobraźnia działa już na wzmrożonych obrotach, widzi, jak to okno zaparowuje, jak ciepłem swojego oddechu ten mężczyzna nagrzewa je, jak nienormalna robi się to sytuacja, powiedziałabyś: chora, bo on ją obserwuje, a ona nie wie, że. I to kółko pary dziwnie szybko rośnie, zaraz wszystko będzie tam zaparowane, za parawanem z tej pary schowa się, a teraz widzisz, widzisz, gdzie są jego ręce, co on nimi robi, jak energiczne są to ruchy i myślisz, że gdyby leżał teraz w wannie, to byłoby słychać pluskanie.

Zuza tego nie wie, nie domyśla się, ona stoi teraz przed lustrem, patrzy, z której strony jest jej dzisiaj więcej, ale wydaje się, że to dzieje się w miarę równomiernie, że puchnie podręcznikowo, wręcz systematycznie. A ona teraz stoi, wypina ten brzuch, głaska go okrężnymi ruchami i patrzy, jak by to było być w ciąży. Co prawda nikt jej nigdy nie kochał i ona nigdy nikogo nie kochała i pewnie dostanie raka, zanim to się zmieni, więc ona chciałaby doświadczyć tego, jak to jest. Mieć gruby brzuch, ale taki, w którym ktoś mieszka, do którego możesz mówić i który pozwoli ci siadać na uprzywilejowanych miejscach w autobusach i tramwajach i do lekarza wchodzić bez czekania w kolejkach.

Bo tak się składa, że Zuzka jest właśnie z prowincji i zawsze musi odstać tam swoje. Nieważne, że obowiązuje system numerkowy, że ma numerek pierwszy i logika by wskazywała, że jak lekarz przyjdzie, to ona zaraz wejdzie, bo tam są dziarskie

emerytki, które dwie godziny wcześniej, trzy godziny wcześniej, chuj, cztery godziny wcześniej przyszyły i czekały i tak zagięty czasoprzestrzeń, wypracowując sobie numerek minus jeden.

Pośrodku jest jeszcze zero, więc Zuzka czuje się wtedy jak zero, patrzy na ten swój brzuch i już chce mówić do niego, tylko że komora losowania ciągle jest pusta, nie niesie się tam nawet huk, wszystko tłumi tłuszcz.

Smutno mi, że mój mózg wypłuwą z siebie te obrazy, że wymyśla wokół niej historie, które powinno się zgłaszać w Centrum Pomocy Rodzinie albo higienistce w szkole. Zgarniam więc Pompona, wracam na peron, chociaż intuicja mówi mi, że to nie jest dobre. Że to jednak prawda, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, zwłaszcza, jak się wcześniej do niej sikało, chociaż to nie jest taki znowu problem, bo wszystko płynie i ogólnie luz.

Ale to znowu nadjeżdża samochód i ja wiedziałam, że tak będzie, to było oczywiste jak polskie obozy zagłady albo Karol, który został papieżem. Stoimy chwilę przed wejściem, samochód znika za rogiem, ryk silnika milknie i nagle mija nas gość. Nie byle jaki, bo mija nas jeździec, to jest kierowca, to jest człowiek od Matki Boskiej na dachu.

Człowiek biegnie jak poparzony, podkoszulek podciągnięty pod brodę, sutki na wierzchu, pachy wolne od obowiązku golenia. I ja nie wiem, nie domyślam się, co to mieć może za cel, ale on krzyczy, że jebać Żydów siekierami i przekaz wydaje się jasny.

Może biegąłby tak po kres kalendarza Majów, ale oto górę bierze fizjologia, jeździec zwykłym okazuje się być chamem, co to sika po murach, nie zastanawiając się. Mój pociąg na szczęście nadjeżdża, zostawiam tych dwoje tutaj i jeźdźcę, czym prędzej wsiadam do środka. Na pożegnanie wystawiam głowę przez okno, widzę, jak Pompon sięga po fajki i słyszę, jak Zuza drze się, że panie, miej litość, sikałbyś chociaż pod krzew.

A on, niewzruszony, finalizujący czynność swą bez zbędnego pośpiechu, niewprawnym ruchem dopinając suwak u spodni, rzuca jej z nutą pretensji:

- Jak pies, kurwa? Jak pies?

● Joanna Pachla

Amerykanka

Do mieszkania zajmowanego niegdyś przez pewną Amerykankę, wprowadził się nowy lokator. Tego roku, gdy Oleg ukończył studia, otrzymując dyplom inżyniera nauk informatycznych, przyjął zaproponowaną mu ofertę zatrudnienia, na okres próbny, w jednej z wiodących firm branży IT, z oddziałem w Krakowie, a jego wystłużone dębowe biurko przywędrowało na barkach robotników ekipy bagażowej pod drzwi nowego lokum, nie dało się w nim już zauważyć żadnych śladów rezydowania poprzedniej najemczyny. A gdyby nie przyjaciel z dzieciństwa, który po 10 latach rozłąki, znów okazał się mieszkać pod numerem obok, nie zaoferował swojej pomocy przy przeprowadzce, młody inżynier najprawdopodobniej nigdy nie dowiedziałby się o jej istnieniu.

- Więc od jutra zaczynasz! Pierwsza praca na pełen etat. Nigdy bym nie przypuszczał, że zainteresujesz się informatyką. - Chociaż głos miał zupełnie inny, bardziej zachrypnięty i twardy niż ten, który Oleg zapamiętał, każde słowo jego przyjaciela niosło ze sobą dźwięk minionej rzeczywistości, skrzypiało rdzewiejącym zawiasem drzwi, które wciąż można było ostrożnie otworzyć. - Uważałeś się za artystę. Pamiętam, jak będąc dzieciakiem, malowałeś nam długopisem tatuaże na rękach. Każdy na podwórku chciał mieć codziennie jeden nowy rysunek!

- Ha, ha, to prawda. Poszedłem nawet do liceum plastycznego i dużo malowałem w domu. Ale wiesz jak to jest,

pracą dla artysty. Rodzice namówili mnie na polibudę. Właściwie postawili mi ultimatum – albo znajdę sobie porządną zawód, albo sam sobie wyzaruję pieniądze na kontynuowanie swoich zabaw z farbami.

- Oczywiście, z pragmatycznego punktu widzenia, mieli absolutną rację. Ależ to dziwny zbieg okoliczności! Przed tobą, mieszkała tu taka Amerykanka, też malarka. Widocznie to mieszkanie przyciąga do siebie artystyczne dusze, choć same dzieła prędko je opuszczają. Twoje obrazy przestały powstawać zanim miałeś szansę je tutaj wnieść, a dopiero kilka dni temu wszystkie swoje wyniosła stąd moja urocza sąsiadka.

- Amerykanka? Mówisz poważnie? – Oleg nie mógł pojąć, czego obywatelka wielkiego świata mogła szukać w jego kraju.

- Oczywiście. Być może miała tu daleką rodzinę. Amerykańskie nazwiska często przejawiają tendencję do polskości ze swoimi zangielszczonymi –skimi i –czykami.

- Masz rację, pewnie znalazła się tu, podążając tropem swoich polskich korzeni. Ale jestem pełen podziwu dla jej odwagi, jeśli rzuciła się w tę podróż sama. Wiesz może co malowała?

- Przeróżne rzeczy. Nieraz można było spotkać ją na rynku, gdzie organizowała uliczne galerie swoich dziełek. Mieszkała sama, z rzadka odwiedzali ją znajomi, ale zawsze gdy spotykałem ją na schodach witała mnie uśmiechem pełnym beztróskiego, radosnego zadowolenia, tutaj prawie niespotykanym. W tym uśmiechu, można się było niemal zakochać.

Tapicerowany bok fotela uderzył o podłogę. Robotnik zaklął, drugi odburknął mu coś w odpowiedzi i siedzenie wróciło do swojej właściwej kątem pozycji. Wszystkie meble stały już na swoich miejscach, Oleg podziękował skinieniem głowy i odprowadził wzrokiem pracowników. Pospiesznym wyjaśnieniem i zaproszeniem na jutrzejszy obiad pożegnał go również przyjaciel, któremu zegarek przypomniał o zbliżającej się porze spotkania z dziewczyną. Nowy mieszkaniec został sam na sam ze zmierzchem wkradającym się już przez ściany nowego domu.

Ściany te miały kolor fioleto. Oleg zastanawiał się czy ten odcień wybrany został przez najemcę, czy też Amerykanka sama pokryła je pigmentem, według własnego zamysłu. Salon był przestronny; choć mieszkanie nie było duże, znajdowało się w nim wystarczająco miejsca na rozłożenie niewielkiego warsztatu, dla potrzeb jednej osoby. Łóżko cicho stało, wepchnięte w kąt ostatniego pokoju, którego przeważającą część stanowiła rama nieszczelnego okna. Remont nie odbył się tu chyba nigdy, podłoga przetarta była od kroków szurających po niej kolejnych lokatorów. Nie było jednak niczego szczególnego w tych pomieszczeniach, żadnych znaków rozpoznawczych, zaznaczających w nim obecność niecodzienności. Właściwie, mógł tam mieszkać każdy.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć, ponieważ myślał o Amerykance.

Kiedy leżenie w łóżku zaczęło mu doskwierać swoją bezradnością, w starciu z nienadchodzącym snem, postanowił przejść się raz jeszcze po mieszkaniu.

Otworzył szeroko dwuskrzydłowe okno o drewnianych framugach, oddzielających miękkość sypialnego pokoju od wyrazistości lipcowej nocy i starał się przyrzeć się jej z zaciekawieniem, odtwarzając uczucie, jakie powinno wkrącać się pod powieki oglądającej je po raz pierwszy, nie zapoznanej jeszcze z tutejszą przyrodą, cudzoziemki.

Do pomieszczenia wpadł wiatr, a za nim rozrośnięty kolasalnie klon, jedną ze swoich pięciokłapowych dłoni wymierzył mu policzek. Drzewo było tak ogromne, że przestaniło wierchołki większości sąsiadujących z ulicą kamienic i osmielone swoim wzrostem, tak natarczywe, że nie wstydziło się dobijać do okien mieszkańców całego drugiego oraz trzeciego piętra budynku. Oleg ujął jedną gałązkę – chore liście, cętkowane jak sierść na grzbiecie dzikiego

zwierzęcia, ostrzegały swą pstrokatością przed czającym się drapieżką. Atakujący je grzyb był, co prawda, agresorem niegroźnym dla człowieka, jednak widok olbrzymiej rośliny, więdnącej pod naporem małego szkodnika, był niebezpieczeństwem dostrzeżonym kątem oka, które, mimo wszystko, kogoś dotyczyło i z tego powodu rodzącym uczucie niepokoju. Uświadomiwszy sobie źródło swojego irracjonalnego, potęgowanego jeszcze gęstniejącą ciemnością lęku, Oleg prychnął i potrząsnął głową z politowaniem, wytrzepując z niej niedorzeczną obawę. – Los w każdej chwili udowadnia mi, jak żalosnym jestem tchórzem. Gdyby Amerykanka miała zwracać uwagę na każdą tego typu głupotę, nigdy by tu nie przyjechała, a już na pewno, nie odważyłaby się zostać malarką. – Mówił do widoku. Zza mozaiki zielono-granatowych strzępek, które postanowił od tej pory ignorować, prześwitywały czarne (jak wszystko malowane o tej porze) dachy i balkoniki przeciwnych zabudowań. Zastanawiał się jakie myśli rysowały się wzdłuż tych krzewów i domów, gdy jego poprzedniczka wyglądała przez ten sam otwór i jak to możliwe, że ta linia, do której wszystkie się zbiegły, to ten sam horyzont, który ogranicza jego pole widzenia teraz.

Spragniony namacalnych dowodów obecności w tym pokoju, sobowótora swojej lepszej wersji, która mogła być przecież możliwa, gdyby on sam, zgodził się zagrać rolę z nieco bardziej skomplikowanego scenariusza, zaczął przyglądać się, stojącym tu sprzętom. Żadnych niewykorzystanych ram, porzuconych pędzli i wałków, podarowanych mieszkaniu szkiców; nawet na panelach podłogowych, nie dało się znaleźć tak charakterystycznych plam, podpisów pozostawianych w drewnie przez rozbryzganą olejną farbę i próbującą je zatrzeć gąbkę – zbiorniczek z terpentyną. Sam miał jeszcze buteleczkę tego specyfiku, rozpuszczał nią tłuste zabrudzenia po smarze, kiedy przyszło mu zmieniać łańcuch od roweru, chociaż kupił ją kiedyś, dawno, w innym celu. Kiedy ostatnio malował? Musiało się to dziać wtedy, kiedy jeszcze wierzył, że jutro przyjdzie zawsze, obłożone paczkami godzin i wyciągnie je z wielkiego czerwonego worka, nie tylko od święta, ale w każdej chwili zapotrzebowania. Przy sztaludze stawał późnym popołudniem, w akcie rozpacz, gdy dane mu było odczuć wieczorne przewartościowanie dnia na skutek czasu, obserwować od wschodu do zachodu, mijając erę ograniczających się wykładniczo możliwości, w której ostateczność wierzył wtedy co rano, a którą ignorował teraz, aż wreszcie o niej zapomniał.

„I bronie się wciąż przed tym, żeby nie dowiedzieć się wszystkiego o sobie, żeby nie zrywać się jeszcze z pod tej delikatnej, troskliwej pierzynki możliwości, okrywającej mnie w noc każdego zmieszania i zawodu i nie ponaglającej do pobudki, gdy pierwsze promienie wschodzącego dnia starają się naświetlić i wyostrzyć rodzącą się decyzję. Ale ze zbitej, nieuporządkowanej masy potarganych, zmiętych i przeżutych barw prześwituje tylko szary kolor, patron niezdecydowania, tchórzliwy tak różnorodnie, że aż nierozróżnialnie niewidoczny, dołączony do palety tylko ot tak, żeby oszczędzić malarzowi zbędnego wysiłku mieszanego pozostałych farb, celem otrzymania tego brudnego odcienia. Mogłbym nazwać go też lenistwem - warunkową bezradnością, ogłupiającą, pasożytującą na moim czasie i zdrowiu. Dostyć tej niemrawości! Sama za siebie mówi tyloma epitetami, synonimami sypie z mojego rękawa, bo tak dobrze się u mnie czuje, tak dobrze jest tu znana i zadowolona pod tyłoma pojęciami. I jeszcze ma czelność grozić mi, że to wolność narazi mnie na śmieszność!” – tej tonacji słowa paliły duszę młodego inżyniera, choć tylko dudnienie stawianych przez niego, rozjuszonych kroków wygrywało ich melodię, skapującą do uszu mieszkających pod nim sąsiadów.

Po postanowił dokładniej przeszukać balkon i jadalnię, ponieważ wcześniej zerknął na te pomieszczenia jedynie przelotnie, w związku z czym istniało pewne prawdopodobieństwo, że przeoczył subtelnie zakamuflowane w nich ślady fizyczności swojej marzącej i malującej Muzy. „Na



pewno gruntowała swoje płótna na powietrzu, to jest rzecz jakiej nie można robić w domu, jeśli nie chce się wciągać, podczas kolacji, zapachu gipsy i kredy. Na balkonie muszą być białe smugi tynku!". Chociaż miotał się w szaleństwie, wyrzucając za barierkę wszystkie przedmioty z szuflad wystawionego tam kredensu, nie znalazł niczego wskazującego na jakiegokolwiek działanie Amerykanki i w tym miejscu.

Wyczerpany legł na kanapę. Pierwotny cykl zachodów i przebudzeń – czas, jaki narodził się w naszych głowach za ich sprawą, by stawiać nas przed wyborem, wynikającym ze skończoności naszych rozwiązań, nie doskwierał mu już, gdy podjął decyzję. Wetknął sobie pod głowę poduszkę, nakrył kocem i pozwolił dniowi odejść. Zadowolony, spał spokojnie, śniąc o oczach błękitnych jak otwarte niebo i niezmierzonych jak ocean, przez który płynął do Amerykanki.

Następnego dnia, nie stawiał się o umówionej godzinie w pracy, a po południu, gdy odwiedził go przyjaciel, sprezentował jego twarzy zdziwienie, ulepione takimi słowami:

- Postanowiłem porzucić zawód informatyka. Mam trochę oszczędności, powinny mi wystarczyć na kolejny rok. Przez ten czas chcę rozwinąć swój warsztat malarski. Najpierw jednak znajdę kobietę, która tu mieszkała. Sam jeszcze nie wiem, ile jej zawdzięczam.

- Naprawdę? To znaczy, bardzo mnie to cieszy, że wróciłeś do swojej pasji. Wiem, że byłeś w tym dobry, dlatego.. Hej, nie zrozum mnie źle, mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale... Ja wymyśliłem całą tę historię o Amerykance.

● Lubomira Przybylska

Na Środkową pizzy nie dowo- zimy

Do wypowiedzianego przez nas i opuszczonego mieszkania na Środkowej wprowadzają się nowi. Też jest to para, on i ona. Już wiedzą, że będą palić tu węglem i że okno w kuchni jest zabite na amen, ale godzą się, przyjmują ofertę, biorą chatę; patrząc na cenę i odległość od centrum - to wciąż dobry deal. Wielu jednak mieszkanie oglądało, ale nie zdecydowało się. O nich także by tu było.

Z przedpokoju - ciemnego, nie wiedzą jeszcze, gdzie jest włącznik światła, długo nie nabiorą nawyku zapalania światła „od wejścia”, przełącznik jest głębiej, tuż przy drzwiach do „naszego pokoju”, idą, mijają piec i mają kwaśne miny, mijają otwarte na oścież, dwuskrzydłowe, drewniane białe kiedyś drzwi do „naszego” pokoju i widzą drugi piec. Miny im jakby jeszcze bardziej kwaśniej. Mówią, to za dużo, to za mało. A właściwie, kiedy mówią, to ona mówi.

Ona jest wysoka, on jeszcze wyższy. Jak są zbudowani? Dobrze? Co to znaczy w przypadku tej pary? Co znaczy dobrze zbudowani w naszym przypadku? My, wiadomo. My, tak.. My, znaczy ja. Jestem dobrze zbudowany. Jestem dobrze zbudowany? Jestem osobą, która wie, że jest dobrze zbudowana. Jestem osobą, która myśli, że jest dobrze zbudowana. Jestem osobą, która wie, że może tak myśleć. Która wie, że może też tak nie myśleć, która może myśleć wiele rzeczy. Która wie, że mogą być dobrze zbudowani. Mogłbym, nie chcę. Oni są?

Załóżmy, że są. Wchodzą oboje pięknie zbudowani i co robią? Nic nie robią.

Co my robiliśmy? Nic nie robiliśmy. My nie braliśmy tego mieszkania razem. Zamiast mnie była ona, Ola. Później ja przyjeżdżałem, odwiedzałem, robiłem sobie wakacje, by być tu z nią, Sią. I tak to leciało. Aż się wprowadziłem, ale teraz wprowadzają się oni. Po pół roku mojej rezydencji. Ile rezydowała Sia? Półtora roku, dwa lata? Jakoś.

Oni więc wchodzą, ona pięknie zbudowana, tak, on jest w tej chwili nie istotny, ona pięknie zbudowana, nieźle. Ona idzie prosto do kuchni, instynktownie idąc do kuchni wchodzi do łazienki, która jest na jej szczęście po drodze. On stoi dużej w przedpokoju i nie wie, czy dobrze zrobili. Kto w tych czasach ogrzewa mieszkania węglem? Oni. Jeszcze ktoś? Nie słyszał. Przeszkadza mu to? Będzie.

Ona nie myśli o ogrzewaniu, zostawia to jemu. I myślenie, i ogrzewanie. Nie, że to jej nie zajmuje, nie obchodzi. Nie. Ona to jemu zostawia, bo to nie jest najistotniejsze. Pięknie jest zbudowana. Ona kuchnię wzrokiem „ogarnia”, łazienkę już ogarnęła. Jej piękne zbudowanie polega na dysproporcji. On jest wysoki. Dostatek jest wysoki, ona jest wysoka, ale nie tak wysoko. Jest dysproporcja. Ona jest kształtna, on jest tylko wysoki. Jej kształtność polega na kształtności samej w sobie, jest niezła. Jest pięknie zbudowana i już wie, co i jak z tą kuchnią i łazienką.

Ja długo nie wiedziałem, co z tą kuchnią i łazienką. Dwa miesiące nie wiedziałem, a mieszkalem te dwa miesiące jeszcze i z Sią, i jeszcze z Olą, która wypowiedziała dopiero po tym czasie, długo i tak wytrzymała. Mogłem się pytać, badać na własną rękę.

W sumie nic specjalnego, ale nie wiedziałem. W kuchni tylko zimna woda. W łazience antresola, na której nie wiadomo co. Do dziś nie wiem. Może coś. Wanna na pewno, wanna ważna, oddzielnie kibel, mały kibelek, tak mały, że jak siadasz, zamykasz za sobą jednoskrzydłowe standardowe jakby to powiedzieć drewniane białe kiedyś drzwi, to uderzasz się w nos. Nie ma miejsca też na gazetę, którą czytasz tylko wtedy, kiedy sam w domu i kiedy możesz zostawić drzwi otwarte podczas „imprezy” i kiedy wiesz, że nikt nie wejdzie raczej, domofon pika, jeśli ktoś kodem otwiera, ale zawsze może kluczem, wtedy nie wiesz, nigdy nie wiesz do końca.

Ona jest mi tu potrzebna pięknie zbudowana, żeby on to zobaczył. I docenił. I wziął się za nią. Tu i teraz. Na co czekać? Po co on ma się gapić na te piece, a oczy mu się prześlizgują z pieców na okna, a stamtąd na ulicę i podwórko, a tam on widzi swój strach, on mi taki nie potrzebny. Ja bym wolał, żeby on się teraz tu od razu bezpośrednio po pierwszym jakby wprowadzeniu, jeszcze nie rozpakowawszy się, jeszcze niepewni, jeszcze nie zorganizowani, żeby on teraz wziął i się za nią wziął, a ona też by tego pewnie chciała. Ale mu przecież nie powie. To on się nie weźmie. A mogłoby być tak dobrze...

On widzi telewizor. To znaczy on widzi, gdzie był telewizor. Bo Sia, przy pomocy ojca i brata telewizor zabrała. Telewizora nie ma, co jego napawa strachem większym może nawet, co podwórko. A podwórko zaiste strachem może wziąć. Podwórko to plac utworzony przez czas, plac, na który otwierają się plecy ośmiu?



dziesięciu kamienic wiekowych, prawie wszystkie zamieszkałe. Setki ludzi. Podwórko jest miejscem ważnym magicznym i bardzo realnym, bogatym bardzo w życie, ludzkie jest. Żyje. On się tego życia boi.

On widzi brak telewizora, kiedy ona widzi już przedpokój (po raz nie wie już który myśli o tym, że należy zmienić plakat Morrisona zgiętego w węzowym dygnięciu na coś innego) Co? Jeszcze nie wie. Ale na pewno nie Morrison. Jemu to też nie pasuje, to znaczy, on też by zmienił, ale bardziej on postawiłby już ten telewizor. Ja miałem szczęście, telewizor już był. Ale później były jaja! Telewizora to nie było, to był jakiś mały, ledwo dostrzegalny, a jak już piłkarze grali, to piłkarze na pewno nie dostrzegali. Potem był większy, obok, ale nawałaty mu kolory, i dźwięk, słaby był. Przypomniała mi się opowieść Roberta z P4. Jego babcia miała telewizor, który czasem się psuł i ona, mieszkając na wsi, nierzadko ciągnęła go na sankach kilometr dwa od domu, gdzie mieszkał człowiek naprawiający telewizory i ona prawda, zostawiwszy telewizor po raz kolejny, że on jest właściwie dobry, poza tym, że dźwięk nie działa, jak my byśmy może powiedzieli, fonia, i poza tym, że obraz nie działa, jak my byśmy może powiedzieli, obraz, to on jest dobry. Tyle historii babci Roberta.

Dzięki tym trzem następującym po sobie, wymienianym się i zastępującym telewizorom, ja obejrzałem całe Mistrzostwa Świata w piłkę. Pierwszy raz w życiu. Od pierwszego, do ostatniego meczu. Skłamałbym, jeśli bym powiedział, że nie boję się, że to były ostatnie, jedyne mistrzostwa, jakie tak obejrzałem. Boję się, że ostatnie, choć always hope. A co on ogląda tu na koniec listopada czy początek, dajmy mu na to, grudnia? Jakies skoki? Jakies biegi? Jakies tańce (czy ona?). On nic nie ogląda, bo telewizor przyjedzie im dopiero jutro i dziś są zdani kompletnie na siebie samych. A on się ociąga i w ogóle nie przychodzi mu do głowy, jak wiele by to wniosło, zmieniło, jak wiele czasu mogłoby upłynąć, bo przecież można powoli, ona by wołała powoli. Chociaż ona by wołała w ogóle. Niech już będzie i szybko! Ale tego nie ma, bo on przecież nie tylko o tym brakującym telewizorze myśli, ale i o niej, o tej drugiej, która to druga nie pozwala mu się adekwatnie zabrać do tej, słaby jest. On już dawno zdjął kurtkę i teraz robi się mu zimno, ona rozbiera się, i ukazuje więcej pięknego bardzo zbudowania, kiedy przekłada najbardziej oczywiste do przedstawienia przedmioty z kuchni, do przedpokoju, z przedpokoju, do łazienki, z łazienki, do kuchni, a nawet zachaca o pokój nie zamieszkały

ostatnio (Ola wyprowadziła się już jakiś czas temu) zamieniony na skład węgla, drewna, gazet i szafy, i stamtąd podejmuje lustro, które już jej pasuje w jednym miejscu w przedpokoju, chociaż tam jest już lustro większe, bliżej drzwi, i skrzyni na węgiel, ale ma dwa teraz, i ona dopiero teraz rozbiera się czarnego płaszcza, wcześniej jedynie rozpiętego i już ma dwa lustra w przedpokoju, zamiast jednego, a on wciąż tkwi zimny w przejściu między przedpokojem a pokojem nie zamieszkanym i boi się tak ulicy, która z pokoju zamieszkałego, jak i podwórka, które z pokoju niezamieszkanego. On by może został w przedpokoju, ale tak się nie da. Dlaczego on się boi tego podwórka i ulicy? Nie wiem. Może po prostu jest mądry. A może tylko uprzedzony. Dlaczego się nie bierze za pięknie, rzeczywiście pięknie zbudowaną? Bo impotent, o przepraszam, nie w tym sensie.... Ignorant i impotent i jeszcze przestraszony? Toż to nic specjalnego. Wprowadzają się kolejni, zwyczajni.

Ale my pięknie byliśmy zbudowani i ja się pięknie zabierałem za „robotę” dość często czasem nawet za często, z początku. Ale żeby uczciwie sobie to powiedzieć, to najlepiej było, najlepiej jest, najmocniej i najwięcej z tego mamy jak się kochamy dopiero teraz, jak się w jakimś sensie rozstaliśmy i jak już tu nie mieszkamy, oni się wprowadzają, a my to tu, to tam, ale bardzo.

Ona ciągle chodzi i roztacza zapachy, karmi zmysły wtajemniczonych (czy on jest? on był, on mógłby ciągle być...). O jakże ona pięknie zbudowana i te dywaniki rozplanowała co są i co przyjadą jutro z jego telewizorem i innymi „ich” rzeczami. On nigdy, ale ona się nie raz zastanawiała, gdyby, gdyby, gdyby im przyszło się rozstać, co tak naprawdę jest „jego”, co „jej”, bo większość, trochę jej, trochę jego, a parę rzeczy w ogóle bezpańskich, a przecież przydatne.

Ona tu widzi tkaniny, widzi materiały, widzi, jak zrobić, żeby pomieszczać przyjemnie, tu na ścianie mata, na podłodze wykładzinka, dywanik. Nie przeraża jej palenie w piecach, jemu w końcu też nie, inne sprawy go niepokoją, na przykład kwestia braku boiska w okolicy, pograłby w kosza, może z kimś w piłkę. Nie wie, że jest blisko, niejedno boisko, do kosza, do piłki, ale nie wie też, że nie znajdzie nikogo, że powinien zacząć biegać, sam. To mu jeszcze nie przychodzi do głowy, ale może mu przyjdzie, jak będzie szczęśliwy.

- Może napijemy się herbaty – mówi. A ona widzi, że karnisz jest bardzo wysoko, że potrzebuje drabiny, by wspiąć się swoim pięknie zbudowanym ciałem na górę, chociaż żeby on wysoki to zrobił ale przecież nie jest nawet tak wysoki, żeby zrobić to z podłogi (ona wołałaby

na podłozie, ale przecież ona wołałaby w ogóle, gdziekolwiek). On też wejdzie na drabinę, ale on wysoki, niezdarny tam będzie, lepiej niech już znajdzie to boisko jakichś kolegów i grają w tego kosza. Niech rzuci też palenie, jej to zaczęło przeszkadzać, chociaż kiedyś palili razem, niemało, ale jej się znudziło, nie pali, prawie nie pali, czasem w pracy. W jakich szklankach kubkach filiżankach, oczywiście, jakieś zostały, ale które wybieriecie. A herbaty? zielone, brązowe, czarne, czerwone? Ja, dopóki nie wprowadziłem się pół roku temu do Si, na Środkową, tak, tu, gdzie teraz wy zamierzacie wic się z zazdrości i gniazdo, ja nie piłem innych herbat, niż tylko normalna herbata. Tu jest inaczej, szczęściarze. Będziecie wodę gotować i przygotowywać posiłki w kuchni, gdzie, kiedy syberyjskie mrozy za oknem, też jest zimno, bo piece, jak już zobaczyliście, ale nie pojełiście konsekwencji, są tu, bliżej pokoi, dwóch, „tego naszego” i tego po Oli, w którym teraz drewnutnia, węglarnia, pracownia, w której nic nie powstało, oprócz jednej ciekawej koncepcji. Otóż kiedy poitem, nie wiem za którym pojeniem to było, jakoś dawno już, kilka miesięcy, może tygodni, Sia widocznie przestraszyła się i zrobiła coś dla mnie niezrozumiałego, o czym jednak teraz coraz częściej myślę. To wraca. Sia się mnie bała. Ja teraz wiem, że jest się czego bać. Człowiek jest zdolny do wielu rzeczy. Bała się agresji fizycznej napaści bała się znęcania psychicznego, bała się tej obcości oddalenia i unieważnienia, jakim skutkowało pojenie konia. Jako że w drewnutni pracowni były wory, w worach były szczapy drewna, deski pocięte już prawie na wymiar, odpowiednio, był w końcu węgiel, były fotosy w Marlin Monero, które miały zamienić się obrazki – ozdoby ścian, była siekiera. Sia tę siekierę za którymś razem gdzieś ukryła. Tak się bała. Mnie. I ja tak sobie myślę, czasem nad ranem, czasem ciemną nocą za cichą, zbyt głośną, o tym, czy ona naprawdę myślała, że ja mogę za tę siekierę chwycić i wymierzyć cios w jej kierunku? Że niby co? Że wezmę siekierę, zamachnę się na Się, wbiję jej ostrze w Si wątłe powabne ciało, które złamię się, nadwyreży, odpuszcę, gdzieś pęknie. I co? Położę ją, jej ciało, na podłodze, ociekające pewnie krwią lub innym osoczem, i co? Coś będę mówił, uspokajał? Jaki będę? Potnę ciało na kawałki? Odrąbię najpierw głowę, tak, chyba głowę na początek, w różnych celach, z różnych przyczyn to by mi pasowało, potem kończyny, tu miałbym problem, nie że fizycznie było by to zadanie herkulesowe, nie, nogi ręce poszły by łatwo, ale jakoś wzdygam się na myśl o obcinaniu tych gałązek, jakieś estetyczne obiekty, i co? Korpus też się członkuje? Też się rąbie? I co ona myślała, że ja się tą siekierą zamachnę,

zrobię swoje, potem schowam ją do skrzyni po węglu, która w przedpokoju, i która przydatna, nawet teraz ojciec Si napomina, żeby ją przywrócić do życia, oczyścić, wyczyścić, nafaszerować stoikami z nie zjedzonymi przetworami, wiśniami, cukiniami, śliwkami, ogórkami, zabrać stąd, znaczy stamtąd, znaczy ze Środkowej, znaczy stąd, bo ja tu jeszcze jestem, a oni się wprowadzają, i nie będą chyba mieli rozterek z siekierami, nie ten kaliber, chociaż cholera ich wie, ja też o tym do tego czasu nie myślałam, a teraz się zastanawiam, czy byłbym do tego zdolny? Zastanawiam się też, jak by to powiodło Sia, zrzucając część odpowiedzialności za to, co się stało, na nią, zastanawiam się, czy

to nie ona czasem, chowając te siekiere i przyjmując gdzieś w swym nieodgadnionym umyśle, że ja jestem do tego zdolny, czy ona nie uczyniła mnie do tego zdolnym, każąc mi teraz myśleć o tym i zastanawiać się nad tym, skoro nigdy, z ręką na sercu, nigdy przenigdy nie przemknęła mi przez rozjechany potężnie przez różnego rodzaju uczestników ruchu i przechodzony przez przechodniów z różnych części świata mózg, różnych profesji i proveniencji, nigdy przenigdy podobna myśl, żeby oto podnieść siekiere na innego człowieka nie przejechała przez moją świadomość, czy zatem ona, wymyślając to i potem, już trochę w żartach, przyznając się, że będąc w szoku i rozpacz i strachu,

wyprowadzając się po raz pierwszy, ukryła siekiere, czy ona tego nie zaczęła?

Napijcie się wina! herbata jest dobra, ale ja bym wolał, żebyście się w końcu zabrali za coś konkretnego, za siebie. Firanki zasłonki sprzęty elektronicznie siekające wyciskające mikrofały i inne TV przyjdą i tak później, teraz się weźcie za siebie, ty, wysoki, tylko wysoki w swej zastraszonej nieporadności taki jednak ludzki, i ty – pięknie naprawdę zbudowana brunetko o pięknych kształtach i kompletnej figurze egipskich pół zwierzęcych bogiń.

Koniec

Listopad, czyli jesień

● Wojtek Dziewit

✱

Znów wyskoczyły mi marność na twarzy,
zastanawiam się, czy widać je w oczach?
Nie Virginio, stąd nie ma wyjścia,
czasem, tylko ewakuacyjne, przez płaszcza kieszenie.

Wiem, nie wolno nam być wygnańcami.
Mieszkać w skrawkach cudzych głów przestrzeni.

Gdzie kończą się i co dotykają sznury naszych żrenic?

Spacerując przy rzece myśl uderza,
że tylko w jednym skrawku jesteśmy uwięzieni,
okien z widokiem na żadne morza,
ale do wewnątrz wiecznie otwartymi.

Zbieram powoli rzeczne kamienie.
Jeszcze nie wiem,
czy na kaczki, czy na ciężkie kieszenie.

✱ ✱

Nie powinniśmy się nawet mijać na ulicy.
Znów przejdzie mnie Twój zapach.
Ty mnie przejdiesz
mimo-chodem.
Jak mróz wyrośnie między nami ściana.
Niczym mimowie, szukając jej
w powietrzu dłonią,
poranimy się tylko
o zasieki milczenia.

● Weronika Bukowska

Wojna postu z karnawałem

*Są bracia jeszcze surowszej reguły
Niż konstytucja głodu, co nas je.*

*I piszę wierząc, że mi starczy jeszcze znaków
współczucia z każdym bratem co na wysokości
swego osamotnienia też z wolna wyświeca.*

Rafał Wojaczek

O cenną duszę Barnaby ścierały się w walce dwa żywioły; dobro i zło, asceza i hedonizm. Bezustannie trwała nierówna wojna postu z karnawałem.

Kiedy więc nastawała Środa Popielcowa, udawał się na mszę w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, sypał głowę popiołem i rozpoczynał – z lepszym lub gorszym skutkiem – coroczny epizod ascetyczny. Ostatni

bastion umiaru i moralnej przyzwoitości, ostatnia przystań, w której mógł się schronić Barnaba przed szponami konsumpcji i hedonizmu, znajdował się na warszawskim Żoliborzu, w budynku zajmowanym przez Zgromadzenie sióstr Józefitek. Siostra Luiza – pełniąc funkcję przełożonej – przyjmowała go na cotygodniowe spotkania. Relacja Barnaby i Luizy stanowiła najczystsze, najdoskonalsze odzwierciedlenie wczesnochrześcijańskiej agape jakie można sobie tylko wyobrazić.

Poznali się przez przypadek na Rynku Nowego Miasta, a Barnaba opowiedział mi kiedyś, jak wyglądało ich pierwsze spotkanie. Siostra Luiza miała zwyczaj przesiadywać tam na ławce przez dwie godziny każdej letniej bądź wiosennej soboty. Zwykle spotykała się z którąś z dziewcząt, która przechodziła trudną drogę postulatów bądź nowicjatu. Przez rozmowę i cenne rady, realizowała posłannictwo pomocy w formacji. Wskazywała drogę, jak wytrwać w Chrystusie. Po dwóch godzinach, sama bądź w towarzystwie którejś z młodszych sióstr, wracała wzdłuż murów Cytadeli do domu zgromadzenia.

Barnaba miał naturalną skłonność do nieszablonych zachowań, kiedy więc zobaczył – po niemal godzinnej obserwacji – że na ławce obok starszej zakonnicy zrobiło się wolne miejsce, ruszył rażno przez plac, aby się przywitać.

– Jestem Barnaba, katolik, zbłąkana dusza, pokorny sługa Pana Naszego – powiedział i wyciągnął rękę w kierunku kobiety.

– Siostra Luiza – usłyszał w odpowiedzi. – W czym mogę pomóc?

– To ja zaraz siostrze powiem w czym – rzekł Barnaba, wyprężył się jak struna i zaczął recytować.

*Za dużo pustych spojrzeń wdeptałem tu w ciszę
Wierzchołków starych strychów legend cudzych okien
Więc dziś łagodnie miasto odwet bierze mści się
Rażąc mnie znad kopuły ognistym obłokiem*

*To biegną na mnie wieże z betonu i spiżu
Beczący łeb bezkrwawo mur ucina krzywy
W wesołych łódkach dłoni ukryj mnie Luizo
Przed straszną konsekwencją martwej perspektywy*

– Luiza wysłuchiwała z uwagą, po czym uśmiechnęła się delikatnie i dodała w odpowiedzi.

*Lecz urok nie odwróci od skazańca pętli
Zabitego spojrzenia długo krąży astral
Bo kto dzieckiem w kolebce przed chimera kłęknał
Ten młody zginąć musi przed toporem miasta*

– Nie wierzę! Nie wierzę! Skąd siostra to zna? – zapytał Barnaba kręcąc głową.

– Nie wydaje Ci się, Mój Drogi, że warto znać treść poematu zatytułowanego własnym imieniem. Nawet jeśli jest to imię zakonne?

– Niech będzie mi wolno złożyć wyrazy najwyższego uszanowania. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek kogoś takiego spotkam.

– Już trzykrotnie w krótkim czasie powiedziałaś – Nie wierzę! – Co jest z Twoją wiarą synu? Co Cię trawi? Bo widzę, że Pan Bóg i Szatan nie rozstrzygnęli jeszcze między sobą, do którego z nich należysz.

– Co jest z moją wiarą? Ha! Dobrze pytanie. A w co siostra wierzy? Jeśli mogę spytać?

– Wierzę w Pana Boga. Mogę Ci również, Mój Drogi, powiedzieć w co nie wierzę. – Luiza uśmiechnęła się dobitnie i dodała.

*Nie uwierzę, mój drogi, że lew jest jagnięciem,
Nie uwierzę, mój drogi, że jagnię jest lwem!
Nie uwierzę, mój drogi, w magiczne zaklęcie,
nie uwierzę w rozumy trzymane pod szkłem,
ale wierzę, że stół ma tylko cztery nogi,
ale wierzę, że piąta noga to chimera,
a kiedy się chimery zlatują, mój drogi,
wtedy człowiek powoli na serce umiera.*

Barnaba stał oniemiały. Oto stała się rzecz niebywała. W osobie tej starej zakonnicy, odnalazł wreszcie postać swojego kalibru. Z miejsca zafascynował się tą tajemniczą, mądrą kobietą. Luiza była jedyną osobą, w obliczu której był w stanie powściągnąć nieco swoją gargantuiczną retorykę. Rozmawiał z nią prosto i czysto. Bez łaciny podwórkowej, bez gry słów, bez niedopowiedzeń. Bez ironii i wyższości. A cytaty – z nich nigdy nie rezygnował – dobierał niezwykle starannie.

Od tego momentu spotykali się regularnie.

Luiza miała bladą i cienką jak pergamin skórę, wodnisto – błękitne oczy i bystre spojrzenie. Długie i smukłe palce – jak zwrócił mi uwagę Barnaba – predestynowałyby ją do gry na fortepianie. Była, jak na kobietę, bardzo wysoka. Chodziła wyciągnięta jak struna, pewnie stawiając każdy krok. Nosiła się prosto i z godnością. Łączyła w sobie pewną surowość w obyciu, trzeźwość osądu, oraz, zawołowaną nieco, ale dająca się dostrzec, pogodę ducha. Na tle pozostałych mieszkanków domu zakonnego – nieco przaśnych i skołtunionych siostrzyczek – prezentowała się jak przedwojenna arystokratka.

Kiedy Barnaba wracał potłuczony – faktycznie, bądź metaforycznie – ze zmagania ze światem, u Luizy znajdował przystań, gdzie mógł nabrać sił.

*Już tylko ty ty możesz spleść
Dla mnie z ramion swoich koję albo sieć
Już tylko ty otworzyć możesz drzwi
I nie zapytać mnie o nic*

*Chodź usiądź tu
Bo tam za drzwiami
Żli ludzie na mnie patrzą
Żyłkami*

Poza tym dość szybko poczuł się w dużym żoliborskim domu jak u siebie. Dbał o aprowizację, pomagał siostrzyczkom załatwiać wermuty i wina. Trudnił się drobnymi naprawami, a w sprawach wymagających najwyższej dyskrecji – jak wtedy, gdy do jednej z podopiecznych Luizy należało zamówić domową wizytę doktora Wypycha – pełnił rolę pośtańca.

Luizie traktował szczególnie i przynosił jej prawdziwe cymesy. Śliwki w czekoladzie, sok wiśniowy gdzieś spod Grójca i wino z przemrożonych winogron. Siadali w ogrodzie pod rozłożystą gruszą, albo w jednym z pokoi przy stole nakrytym białą serwetą i rozmawiali. Dyskusje zaludniali: Święty Tomasz z Akwinu, Petrarka, Nietzsche oraz Schopenhauer. Miałem okazję przysłuchiwać się kilku takim rozmowom i przyznam, że ich teologiczny ciężar, a także erudycyjny rozmach były dla mnie nie do udźwignięcia.

Wojna postu z karnawałem trwała kilka lat.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy ostatni bastion ascezy i umiaru w życiu Barnaby zaczął kruszeć. Oczy siostry Luizy zaszyły mętną poświatą; mętne stawały się również jej słowa i myśli. Kiedy przestała poznawać współsiostry oraz Barnabę, wiedzieliśmy, że jest naprawdę źle. Mój druh został z nią do końca. Nawet wtedy kiedy grubą świecową kredką znać czyta dziwne szlaki na Biblii i innych książkach. Nawet wtedy gdy, siedząc spokojnie, zaczynała nagle z wielką siłą uderzać tyłem głowy o ścianę. Do krwi. Nadszedł w końcu dzień, w którym odeszła ostatnia strażniczka tej surowej reguły.

Kiedy się o tym dowiedziałem, czym prędzej ruszyłem na Żoliborz.

Otworzyła mi jedna z siostr. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. W domu panował półmrok. W powietrzu mieszały się zapachy kadzidła, kurzu i starego drewna – mieszanka tak dobrze znana ze starych kościołów.

– Nasza Luiza, Siostra Przełożona, zakończyła swoją postługę na ziemi i udała się w podróż ku Ogrodom Pańskim. Obudziła się ze snu życia. – poinformowała mnie szeptem siostra Bernadetta, która, zgodnie z zasadą starszeństwa, przejęła teraz funkcję wiodącą.

Wszedłem do pokoju, gdzie siostra Luiza czekała na swoją Ostatnią Drogę. Scena, którą zobaczyłem, przywodziła na myśl obrazy pędzla Jaceka Malczewskiego.

Barnaba siedział w milczeniu. Twarz miał schowaną w dłoniach. Koło

niego, na podłodze, leżał kolorowy bukiet. Grudki ziemi na dywanie, sugerowały, że kwiaty jeszcze chwilę wcześniej uświetniały jakiś warszawski klomb. Po chwili wstał, nachylił się nad Luizą i zdjął jej delikatnie białe nakrycie głowy oraz czarny welon. Siwe włosy, które spod niego wypadły, rozłożył na białej poduszce. Rozpiął kilka guzików swojej wojskowej kurtki, zdjął dość okazałych rozmiarów srebrny krzyż – widziałem go po raz pierwszy – i powiesił na szyi siostry. Schylił się po kwiaty i położył je w nogach Luizy. Grudki ziemi z charakterystycznym dźwiękiem, opadły na świeżo wykrochmaloną, białą pościel.

– Ellenai, pokutnico, towarzyszek wygnania, dlaczego opuszczasz mnie, Anhellego? – zapytał łamiącym się głosem.

Przez szparę między grubymi zastonami przebijały się ostre promienie Słońca. Kurz wirował w powietrzu. A Barnaba, ten prorok, katolik i herezjarcha, nie uzyskawszy odpowiedzi, zwrócił się ku muzom.

*Uranio, siostrze, sosno - tak ciebie nazywam
Bo palcem pnia swojego ukazujesz niebo
Wiatr co się w twojej czarnej grzywie zrywa
Zacicha dołem. Siostrze, wzywam ciebie*

*Jak niegdyś wróżę w koronach z jemioty
Abyś wytrwała w progu mego domu
I strzegła kwiatu, owocu i pszczoły
I serc co tutaj gasną po kryjomu.*

*Uranio, muzo dnia ostatecznego
Bogini końca, bogini trwałości
Zniszczeń bogini i wszystkiego złego
Stójże na straży domu i nicości.*

Pogrzeb odbył się na Starych Powązkach, wśród lip. Staliśmy z Barnabą w milczeniu. Byliśmy skupieni i poważni. Staliśmy prosto i godnie. Koszule mieliśmy zapięte pod szyję. Na szyjach mieliśmy krawaty. A potem zdjęliśmy krawaty i poszliśmy pić.

● Łukasz Żmijewski

Dziennik młodej kelnerki

21.07.15 r.

26.07 jadę na dwa tygodnie do Monachium. Dziś dzwoniła ciocia Alicja i mówiła, że mogę u niej popracować jako kelnerka. Nie ma nic przeciw Lewkowi. Dziś głąskałam go pół godziny, a on bez przerwy mruczał. Ma ostatnio dużo energii. No, teraz akurat leży w plamie słońca na dywanie i wygląda jak miniaturowa lwa.

22.07.15 r.

Wczoraj wieczorem powiedziałam rodzicom, że jadę. Tata pytał o wszystko – gdzie będę spać, czy będę ostrożna, czy będę dzwonić codziennie, czym dotrę do Munchen, czym wrócę do Poznania, czy będę uważać, czy nie zawalę przez to studiów (!), czy tam jest bezpiecznie, czy wszystko mam, ile czeka mnie godzin pracy, ile zarobię, czy Lew jest dobrym pomysłem, po co mi to, czy będę się pilnować...

Mama słuchała uważnie, a powiedziała tylko, żebym się nie emocjonowała za bardzo, bo mam skłonności do przesady. Ja i przesada?

Lewek jakoś dziwnie wygląda. Trochę nastrozyło mu się futerko, a oczy jakby mu się powiększyły. Może jest chory? A może przeczuwa, że wyjeżdżamy?

23.07.15 r.

Dziś oburzyłam się na Monię, bo chciała wygonić Lewka z jego miejsca na parapecie. Powiedziała, że „porządek musi być”. Ona ma jeszcze ciągle 4 lata. Co będzie, jak skończy 5?

To pierwsza podróż Lewka za granicę (moja zresztą też). Po co go denerwować? Jak on wytrzyma bez poduszki na parapecie, na której może poczuć się swojsko i bezpiecznie? Ale jak ja wytrzymam gdzieś bez niego? Ciekawe, czy będzie bardzo tęsknił za rodzicami i Monią...

24.07.15 r.

Dziś tata zawiózł mnie na ostatnie zakupy przed podróżą. Wzięliśmy dużo dobroci dla cioci – jakieś herbaty, kawy, czekoladki. To siostra mamy. Tata za nią nie przepada, więc szukaliśmy rzeczy, którym szybko kończy się data gwarancji. Na szczęście to wszystko były żarty. W takich chwilach jakoś trudniej mi się pogodzić z tym, że będę daleko od domu. Dotąd wyjeżdżałam tylko na weekendy. Kupiłam Moni wielkie żelki.

25.07.15 r.

Lew oszalał! Jest niemal północ, ja kończę pakowanie, bo jutro o 8 odjazd, a on usiadł na mojej przepoconej bluzce i miauczy okropnie. Lewku, maleństwo, nic ci nie grozi. To tylko długa i uciążliwa droga, podczas której nie będziesz mógł prawie wychodzić z ciasnej klatki, chyba że na smyczy dla kotów. Nie będziesz mógł się dokładnie umyć, nikt cię nie pogłaszcze... Potem trafisz do jakiegoś obcego miejsca o dziwnym zapachu i będziesz nieufanie przemukał się wśród dziwnych ludzi. Nie zobaczysz znajomych twarzy przez około 350 godzin. Lewku, kochanie, to fantastyczna przygoda! Zarobimy trzy razy więcej niż w Poznaniu, a ty będziesz czekał, aż wrócę ze wspaniałych miejsc, po których nie potrafię się poruszać. Będziesz miauczał po niemiecku, a ja po będę mówiła po niemiecku, choć mój akcent nie pozwoli nikomu zrozumieć nawet słowa.

Lew dostał się jakoś na szafę, gdy poszłam po szampon. Trzęsie się, a jego oczy całe składają się ze źrenic. Może jutro uda się go ściągnąć...

26.07.15 r.

Tata jest bardzo zadowolony, że zmienił zdanie co do dat gwarancji czekoladek.

● Agnieszka Horodyska



wieczór. wiosna.

kino może

zaczęło padać. utknęłam w
rzece żółtych parasoli
ci smutni ludzie o pociągłych
i woskowych twarzach
lubię oglądać słabe filmy –
tak sobie myślę
w akwarelowym błękicie sukienki
pies szukał cytryn

zaczęło padać. utonęłam w
morzu walczących oddechów
stęchłych i płytkich
na rogu stała dziewczyna
z wydętymi policzkami
schowana w podcieniach i szumiąca
jak rozstrojone radio
albo jak ta słynna autostrada
w akwarelowym błękicie sukienki
połyskują złowrogo pomarańcze

to jak scena ze snu wariatki
która przez całe lato mieszka
w opuszczonym, pordzewiałym aucie
a na zimę gdzieś znika
może sypia z mężczyzną
z pobliskiej wsi

zaczęło padać i zapomniałam
jak skończył się bułgarski dramat
który właśnie widziałam
oni tam również w deszczu
odkrywali zdradę i nazywali
miłością te strzepy pragnienia
którymi panna młoda pociera
uda doprowadzając się do też

idź już dziewczyno, pomyślałam
jeszcze chwila i wchłonę cię
nakręcę cię na szpulę sepiowego filmu
zmienię twoje życie w ciasto jabłkowe
zapropnuję montaż ciągły

idź zaraz przesłoni cię
tonące sadio wycieczkowicza
miętko rozprysłe
kariatydy we fraku

najbardziej lubię opowieści
o żyletkach ukrytych w jabłkach
na halloween
i o igłach w grudkach popcornu
amerykańskie kino to jednak klasyka

kultura niska

francuska aktorka filmów popularnych
czasem artystycznego kina
patrzy tajemniczo
przyparta do ściany
cała w złocie i czerwieni
piękność dnia?
jestem kurą domową
widzę ją w kuchni
terakota krzyczy
czajnik piszczy
to kot miauczy
a ona cała w złocie
gulasz gotuje
siada do stołu razem z magi
i dodaje
nie dla smaku lecz z przyzwyczajenia
dodaje dla fantazji
sobie lat ciężkim makijażem
dodaje z konieczności
miesiąc temu mąż pracę stracił
a ona nadal w złocie
ale już w imitacji
z fasonem czyta burdę
i wie, że kratkę vichy trzeba przełamać
a tu zaskoczenie
ruski mafioso ze spluwą
jakie dynamiczne ujęcie
i podpis pod zdjęciem
czy kobiety newtona nie są uprzedmiotowione?
o, co za arthouse
biorę kolejny magazyn z imieniem w tytule
a ty masz już 25 minut spóźnienia
jak w 25 minut zrobić klopsiki dla całej rodziny?
masz też urodziny
więc okoliczności łągadzające
ale nie dla katrin

● Karolina Szczypek

TORPEDA LUDU

Biuletyn redaguje zespół
uczestników sekcji literackiej

Redaktor prowadząca: Joanna Pachla

Współpraca: Darek Foks

Ilustracje: Piotr Depta

Projekt okładki: Piotr Depta

Opracowanie graficzne i skład: Mateusz Beżnic

Turyści

W Lublinie widziałem
wielu ślepych,
zaskakująco wielu ślepych.
Idę Krakowskim, uskakuję,
bo ślepy.

Stasiuk pisze coś takiego,
że jak tam wieje,
to że w tym wietrze
ciągle czuć Sobibór.
Że go to owiewa,
jak idzie.

To i mnie owiewa, i ślepych,
jak idziemy.
Ci ślepi przed siebie,
ja lewo prawo lewo, po prawej
jakaś pani stoi pod bankiem pekao
i mówi do szczekaczki,

że upamiętnia jakiś Żydów,
jakiś 43 tysiące,
jakiś pan się ogląda
za panią z megafonem,
to i ja się oglądam.
Pani całkiem całkiem.

Sztuczne oddychanie

W tym ciemnym czasie palenia liści.
W tym ciemnym czasie palenia śmieci,
nadszedł być może czas resuscytacji
gazety. Wziąć tę gazetę z jednej ze stert
narosłych na książkach, między książkami.
Przetrzeć nią okna. **By nie zostawić smug
nie ma jak gazeta.**

Pozwolił by przez kilka godzin
te okna
łapały światło jak łapie się ryby.

Dział zagraniczny, ekonomia,
plotki wydobędą coś na światło dzienne,
nawet jeśli będzie to ten pokój razowy jak chleb,
to nie pokój czy wojna – słowa
jednorazowego użytku.

● Olek Trojanowski